

dbi. 5. 859

WINCENTY RZYMOWSKI

EPOKA HITLERA

Kolekcja
Emila Kornasia

NAKLADEM STRONNICTWA DEMOKRATYCZNEGO

WARSZAWA — KRAKÓW

1945

WINCENTY RZYMOWSKI

EPOKA HITLERA

NAKŁADEM STRONNICTWA DEMOKRATYCZNEGO

WARSZAWA — KRAKÓW

1945

y. 31308



CM KEK

332620

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

M 01114

Wpisano do Księgi Akcesj.

Akc. D1 nr 46/201 / 5 04

I

Gdy miną lata, gdy miną pokolenia, i nowi ludzie w nowych kwitnących miastach i wsiach szukać będą wyrazu albo raczej symbolu, ażeby zawrzeć w nim zgrozę tego wszystkiego, cośmy przeżyli pod terrorem Niemiec hitlerowskich, to — sędzę — jednym z symbolów takich, wywołujących widma przeszłości, będzie p u k a n i e d o d r z w i . Epoka, w której pukanie do drzwi, niewinny odgłos kroków, zwiastujący odwiedziny bliźniego, przyprawiał ludzi o dreszcze i kazał im truchleć z trwogi, zasłynie w historii, jako epoka Hitlera.

Myśl ta zrodziła się we mnie mimowoli przy czytaniu jednego z najbardziej interesujących pamiętników, rzeczowo odtwarzających dolę ofiar, ściganych przez rządy okupacyjne w Polsce, a mianowicie „Moich wspomnień: 1939—1943“ Karola Borowskiego, znakomitego reżysera scen polskich, a w ich liczbie także Teatru Narodowego w Warszawie.

Ileż razy, w rozwoju jego dramatycznej opowieści, odzywa się ów złowieszczy odgłos, niezawodna wróżba nieszczęścia! Niektóre kojarzące się z nim epizody występują we „Wspomnieniach“ z tak nieprzeczpartą siłą bezpośredniości, a jednocześnie tak głęboko się-

gają w mechanikę stosunków, jakie się ustaliły pod okupacją, że nie mogę oprzeć się pokusie przytoczenia ich pełnego opisu.

Oto jeden z nich, wyjęty z rozdziału, w którym autor maluje swój zakonspirowany pobyt w małej wsi podwarszawskiej.

Nagle... pukanie do drzwi. Otwieram, i ku memu zdumieniu wchodzi do pokoju dwóch mężczyzn. Wprowadziła przybyszów moja gospodyni. Starszy — wysoki, barczysty, ubrany w kurtkę sportową, młodszy — szczupły, niskiego wzrostu, w nowym futrze z fokowym kołnierzem. Starszy — zły, brutalny, krzykliwy, zapijaczony; młodszy — spokojny, pogodny, raczej flegmatyczny, łagodzący „zawodowo“ brutalność swego towarzysza. Zażądali dowodu osobistego. Nie tracąc zimnej krwi, wyjąłem z portfela dowód na nazwisko Porowski. Kiedy zaczęli domagać się karty rozpoznawczej, pokazałem zaświadczenie gminy Konstancin-Skolimowo o wpłaceniu należnej kwoty i dodałem, że kartę rozpoznawczą otrzymam — według ustalonego terminu — za dwa tygodnie. Wtenczas starszy polecił gospodyni opuścić pokój. Kiedy zostałem z nimi sam na sam, zaczęli, pod pozorem rewizji osobistej, ściągać ze mnie naprzód marynarkę, następnie — spodnie, wreszcie — bieliznę, w końcu rozebrali mnie do naga. Okazało się, że chodzi im o stwierdzenie pewnych zmian chirurgicznych, związanych z rytuałem religii, którą wyznawali moi rodzice, zmian, które umożliwiły im nieomyślne ustalenie mego niaryjskiego pochodzenia. Po skonstatowaniu tego „radosnego“ dla nich faktu kazali mi się szybko ubrać, i brutalnie oświadczył, że będę natychmiast aresztowany i oddany do dyspozycji władz niemieckich, które postąpią ze mną, jak ze wszystkimi. Natomiast jego cichy towarzysz, ów pan we wspaniałym futrze, zaczął wykonywać jakieś dziwne ruchy rąk, które miały mi jakoby dać do zrozumienia, że moja sytuacja nie jest aż tak beznadziejna, że jeszcze można zlemu zaradzić. Nakrzyczawszy

się do syta, brutal opuścił pokój i udał się do mieszkania gospodyni. Pozostałem sam na sam ze spokojnym, łagodnym, wyrozumiałym „dżentelmenem“, który oświadczył, że znikoma suma dwóch tysięcy złotych zażegna burzę i stworzy warunki, umożliwiające mi dalszą egzystencję. Odpowiedziałem, że poza garderobą i bielizną posiadam w majątku 80 złotych. Skrzywił się, zbadał dokładnie zawartość portfela, następnie udał się na naradę do swego towarzysza. Narada trwała krótko, ale w tym czasie udało mi się ukryć pod dziennikiem dwie koszule i dwie pary pończoch. Reszta padła ofiarą łupieżców. Zabrali garnitur marynarkowy, nowe spodnie, ciepłą pydżamę, parę koszul, pończochy, laskę, parasol, wieczne pióro, nie pogardzili nawet bandażem elastycznym. Kazali otworzyć walizkę i zapakować rzeczy, których wartość znacznie przewyższała ustaloną przez bandytów cenę dwóch tysięcy złotych. Zmierzali ku wyjściu. Zapytałem brutala, czy powiadomił gospodynię, że przetrzymuje w swoim domu „Żyda“, czy zagroził konsekwencjami, wypływającymi z tego stanu rzeczy. Oświadczył, że gospodyni nie jest wtajemniczona, że ich interesy zostały zaspokojone i mogą mieszkać w tejże wsi, jak długo mi się podoba. Wyszli z mieszkania. Po chwili zniknęli w mroku. Gospodyni — pomyślnym zbiegiem okoliczności — nie widziała wynoszonych rzeczy i nie dowiedziała się o rabunku. Pozostałem sam... Przez całą noc nie zmrúżyłem oka...

Opisana przygoda miała miejsce 5 grudnia 1942. Wbrew uspokajającym zapewnieniom opryszków, nie przestawały naszego autora dręczyć złe przeczucia. I przeczucia te miały się rychło sprawdzić. Już po dniach dziewięciu czekały go powtórne odwiedziny. I znów pukanie do drzwi. Tym razem znajomej sylwecie brutalnego draba towarzyszył jakiś nowy współnik.

Drab był pijany, wściekły. Zaczęli dobijać się do drzwi. Otworzyłem. Weszli. I znowu usiłowano ściągnąć ze mnie szlafrok.

Oświadczyłem, że nowe oględziny są zbyt ciężkie ze względu na nieomylny stan faktyczny, który został przez nich stwierdzony przed kilku dniami. Pijany bandyta położył się na łóżku i polecił swemu pomocnikowi zabrać posiadane przeze mnie złoto. Kiedy wyjaśniłem, że żadnego złota nie posiadam, młody rabuś uderzył mnie w twarz i oświadczył, że nie zasługuję, żeby mnie święta ziemia nosiła, bo „Żyd bez pieniędzy to — ścierwo, które powinno się żywcem zakopać w ziemi“. Lżył mnie w brutalny sposób, grzebał we wszystkich kieszeniach; wyraził najgłębsze oburzenie, że tak nisko upadłem, iż własnoręcznie obieram ziemniaki, traktował mnie jak gada, utrudniającego życie im — tajnym agentom „nowego ładu“ w Europie. Starszy, rozwalony na moim posłaniu, oświadczył, że nie ma co ze mną gadać, że za chwilę będę rozstrzelany wraz z inną Żydówką, którą przyłapali przed godziną. Nie domyśliłem się, że chodzi o moją siostrę!... Nagle zerwał się z łóżka i oznajmił, że uczyni pewną propozycję, której spełnienie mogłoby mnie zrehabilitować w jego oczach, a nawet przynieść pewne zyski. Mieszkałem uprzednio w Skolimowie, więc z całą pewnością poznałem wielu bogatych ukrywających się tam Żydów. Jeśli wskażę mu ich adresy, nie tylko pozostawi mnie przy życiu, ale gotów ofiarować pewien procent z osiągniętych zysków... Oslupiałem!... Przez chwilę panowała cisza, która nie zwiastowała nic dobrego. Na pytanie, dlaczego milczę, oświadczyłem, że w Skolimowie wiodłem życie pustelnicze, że nie zawierałem żadnych znajomości, wreszcie zakończyłem, że bez względu na oczekiwane następstwa nie będę mu służył w tej sprawie ani radą, ani pomocą. Wściekłość nieokrzesanego draba nie miała granic. Zaczął mnie bić kulakami po głowie i, gdyby nie perswazje młodszego rabusia, który ni stąd, ni zowąd stanął w mojej obronie, odwołując się do rzekomej dobroci pijanego bandyty, byłby mnie pobił do nieprzytomności. Dwaj agenci oświadczyli, że przychodzą po raz ostatni (tak samo, jak za pierwszą swoją bytnością), że więcej napastować mnie nie będą, wyjęli z mego portfela ostatnie sto złotych, zabrali stojący na oknie bardzo piękny budzik i opuścili mieszkanie...

Powtórne najście opryszków, ich niecne propozycje, obawa dalszych napaści, wreszcie niemożność wyjawienia gospodyni lokalu przyczyny powtarzających się wizyt tajnych agentów, wszystko to skłoniło naszego autora do natychmiastowych poszukiwań innego miejsca pobytu. Było dlań rzeczą oczywistą, że z wioski podstołecznej, gdzie, pod przybranym nazwiskiem, ukrył się w odnajmowanej izdebce, trzeba uciekać. Ale dokąd? Do Warszawy? Wszak on z Warszawy właśnie, gnany niebezpieczeństwem, wyniósł się na wieś, aby zejść z oczu wywiadowcom hitlerowskim, tropiącym w wielkich przede wszystkim miastach, ludność semickiego pochodzenia. Wracać do Warszawy — czyż to nie popadać w błędne koło, w koło osaczenia, zacieśniające się coraz rozpaczliwiej w okół ściganey zwierzyny? Wiedział, że w Warszawie bardziej, niż gdziekolwiek indziej, grunt palić się będzie pod jego stopami, ale nie miał innego wyboru. Liczył, że znajdzie schronienie, choćby chwilowe, u kogoś z przyjaciół. To schronienie chwilowe pozwoli mu odetchnąć, rozejrzeć się w położeniu, poszukać nowych dróg ratunku. I rzeczywiście, po kilku dniach tułaczki, widzimy Borowskiego w nowej kryjówce: w Warszawie, na ulicy Emilii Plater w mieszkaniu zaufanej rodziny, która podjęła ryzyko udzielenia tułaczowi gościny. Przyjęto go życzliwie. Zaproszono by siadł do stołu, na którym nakryto właśnie do obiadu. Przybysz, zachęcony przyjazną atmosferą mieszkania, rozgościł się, ożywił, poddał się

wrażeniu ukojenia i bezpieczeństwa. Czy na długo?

Nim obiad dobiegł do końca, w kuchni rozległo się pukanie do drzwi. Pierwsza posłyszała je gospodyni. Spojrzała przez uchylone drzwi do kuchni. Zbladła, jak trup, i szepnęła: „Znowu mamy gości“.

... Do stołowego pokoju wchodzi dwóch drabów. Jeden napastliwy, drugi — cichy, zrównoważony. Z chwilą, gdy pierwszy zażądał dowodów osobistych od koleżanki M. i ode mnie, drugi — dyskretny — cofnął się do kuchni. Brutal terroryzował wszystkich obecnych. Koleżanka M., znajdująca się w tej samej, co ja, sytuacji, straciła głowę. Natomiast ja byłem dziwnie opanowany, przygotowany na najgorsze. Krzykliwy drab oświadczył koleżance M., że ona jest powodem jego wizyty, a że udało mu się przy tej okazji schwytać jeszcze jednego ptaszka (mówił o mnie), to już jego szczęście. Zażądał sumy ryczałtowej 5000 złotych. W przeciwnym razie, starym wypróbowanym sposobem, groził oddaniem nas w ręce niemieckie. Awanturował się, robił urodziwej koleżance M. przejrzyste propozycje, po których przyjęciu zgadzał się zmniejszyć okup. Rozporządzałem niewielką sumą 470 złotych, Kiedy oświadczyłem napastnikowi, że tylko tyle mogę ofiarować, wyśmiał mnie i chciał czynnie znieważyć. Chwyciłem go za rękę. Wyrwał ją i oświadczył, że, gdyby jego towarzysz dowiedział się, że jestem „Żydem“, sprawa moja byłaby przesądzona, że tylko jego wspaniałomyślności zawdzięczam możliwość wydobycia się z matni za tak znikomą sumę. Sprawa mego „żydostwa“ nie ulegała wątpliwości: w ciemnym kąciku za kotarą, przy świetle ręcznej lampki elektrycznej dokonano oględzin, którymi posiłkowali się wszyscy szantażyści w nadziei wymuszenia sowitego okupu. Krzykom, groźbom, wymysłom nie było końca. Gospodyni mieszkania, która zdobyła technikę prowadzenia układów z agentami rasizmu (miała już kilka takich wizyt w swoim domu) rozpoczęła rokowania na własną rękę. Wyprowadziła łajdaka do kuchni, gdzie zaczęły się targi.

Po dłuższej „wymianie zdań“ ustalono globalną sumę złotych 3500. Zatelefonowano do jednego z przyjaciół, człowieka zamożnego, który obiecał w ciągu godziny przywieźć wymienioną kwotę. Bandyci opuścili mieszkanie. Za godzinę miał zgłosić się członek policji granatowej, ich cichy współnik, po odbiór okupu. Pozostaliśmy sami. Gospodyni, dawna moja uczennica, znając krytyczną sytuację, w jakiej się znajdowałem, oświadczyła, że suma ta będzie pokryta przez jednego z przyjaciół oraz przez jej współlokatorów, bliskich krewnych koleżanki M.

Nie będę przytaczał dalszych epizodów z tej samej serii. Przykłady podane wyżej mówią same nie tylko za siebie, ale i za ustrój, który obrazują. Wystarczają one aby oświetlić sprężyny, które w układzie stosunków między ludźmi w samej duszy ludzkiej uruchomił hitleryzm, zamierzając oprzeć na nich swe rządy. Nim jeszcze wybiła dla ludności pochodzenia niearyjskiego — zarówno Żydów jak Polaków — godzina wyroku, skazującego ją na zbiorową zagładę, już położono na niej twardą, ciężką dłoń opresji i zdzierstwa. Poddano ją oblławie, mającej pozbawić ją wszelkich zasobów materialnych i wytrawić z niej wszelkie uczucia człowiecze przez systematyczne kruszenie w jej łonie elementarnych węzłów solidarności, braterstwa, przyjaźni, zaufania wzajemnego: tego, na czym wspiera się wszelka społeczność. Zanim rozpoczęła się masakra generalna, szedł pościg indywidualny za oddzielnymi grupami, rodzinami, jednostkami, przedstawiającymi wartość osobistą. Rzekłbyś: tyraliera zbójcka, poprzedzająca masową ofensywę rozboju. Ta tyraliera polegała głównie na

grabieży, lecz nie cofała się przed mordowaniem ludzi, bo widmo mordu najskuteczniej torowało drogę rabunkowi. By ratować życie, człowiek będący przedmiotem obławy, oddawał resztki mienia; lecz, wyzbywając się majątku, czyż ocalał życie? Nie! Tylko odraczał śmierć. Im hojniej opłacał swych prześladowców, tym szybciej wyczerpywał swe rezerwy, tym bardziej zaciskał pętlę, która miała go zdławić.

A przy tym ci, którym na razie udawało się unikać kaźni, jakież przechodzili tortury upokorzenia i poniewierki!

II

Na gruncie, parującym krwią pomordowanych, w atmosferze przesyconej groźbą nadciągających pogromów, powstawały — jak stwierdza Borowski — najrozmaitsze „spółki“ a nawet szeroko rozgałęzione „towarzystwa akcyjne“ tzw. opiekunów, którzy gnębili skolataną ofiarę olbrzymimi okupami. Hieny w skórze ludzkiej odnalazły w ustroju hitlerowskim żywioł, w którym mogły dać upust swym instyngtom. „Opiekunowie“ — podkreśla nasz autor — członkowie owych spółek, nie przestawali działać na własną rękę.

Każda ukrywająca się rodzina miała oddanego sobie opiekuna, „przyjaciela“, który sowicie opłacany,

chronił swoich „protegowanych“ przed niebezpieczeństwem.

Taki przyjaciel, poza stałą pensją, od czasu do czasu zaciągał bezzwrotne pożyczki, motywując je chorobą żony, dziecka, zbliżającą się gwiazdką, trudnymi warunkami życia wojennego... Opiekunowie rekrutowali się bądź z agentów tajnej policji niemieckiej, bądź z agentów policji kryminalnej polskiej, bądź z członków tzw. policji granatowej. Poza tymi wyrzutkami społeczeństwa nie brak było rozmaitych wolontariuszy tego haniebnego procederu, działających bądź w pojedynkę, bądź też łączących się w bandy. Niezamożne rodziny uginały się pod ciężarem haraczu. Aby zaspokoić potrzeby a raczej wymagania „troskliwego“ opiekuna, pozbawiano się resztek klejnotów, sprzedawano garderobę, a nawet zapasy żywności.

A ci, których nie stać było na opłacanie haraczu lub których haracz zrujnował? Tych los był przesądzony: oddawano ich w ręce niemieckie: szli na stracenie. Oprócz „opiekunów“ stałych, renomowanych, istnieli opiekunowie dorywczy, bezczelni bandyci, którzy nachodzili zastraszone ofiary w ich mieszkaniach, choćby najstaranniej zamaskowanych a niekiedy przedstawiających istne arcydzieła sztuki konspiratorskiej. Odkrywszy człowieka w najtajniejszej kryjówce, łupili zeń skórę tym niemilosierniej, im staranniej się zataił.

— Tak — konkluduje Borowski — przedstawiała się sytuacja mnóstwa rodzin niaryjskiego pochodzenia, zdanych na łaskę i nielaskę każdego złoczyńcy: każdego uzbrojonego w doktrynę hitleryzmu zło-

czyńcy, który z lampką elektryczną w ręce gotów był sprawdzać rytualne oznaki przynależności rasowej.

Czy jednak prawdą jest, że terror, wyciskający pieniądze i krew z nieprzeliczonej rzeszy ludzkiej, ograniczał się tylko do Żydów? Wystarczy przypomnieć sobie to niesłychanie rozpowszechnione pojęcie, jakim było przed wojną w sferach reakcyjnych naszego kraju pojęcie tzw. żydo-komuny, aby dojść do wniosku, że obszar żerowania agentów hitlerowskich wykraczał daleko poza szranki ludności semickiej. Już praktyka ozonowo-endecka pokazała, że pod piętnującą kategorię „żydo-komuny“ próbowano podciągnąć każdą jednostkę, przeciw której chciano poszczuć opinię gawiedzi. Kogóż więc nie można było w nomenklaturę tę ubrać teraz, podczas okupacji hitlerowskiej, gdy rokowała ona widoki tak obfitego zysku dla pierwszego z ulicy rzezimieszka, który zechciał się nią posłużyć?

Każdy osobnik, każdy ośrodek społeczny, przeciwstawiający się przemocy okupanckiej lub choćby tylko nieskłonny nakazom jej ulegać, mógł stać się, niezależnie od swej narodowości i swego pochodzenia, ofiarą pościgu i przedmiotem haraczu. Każdy patriota i demokrata, wytropiony w swej kryjówce, popadał w szpony wilków, hien i szakali. Kto zaś dostał się raz w te szpony, ten prawie żadnych nie miał widoków, by ujść z opresji i zmylić ślady za sobą. Im wartościowszy był człowiek, tym cenniejszą stawał się

zdobyczą, tym wyższą cenę okupu stawiano za jego głowę. Rabusie, lotrowskim wiedzeni instynktem, rozumieli, że jednostka wybitniejsza, dysponująca wpływami w swoim środowisku, gdy zawiśnie nad nią groźba zagłady, znajdzie pomoc u przyjaciół i będzie ratowana solidarnym wysiłkiem szerszej, współpracującej z nią zbiorowości. W ten sposób zbiry, mierząc w jednostki, zarzucali swe drapieżne sieci na całe gromady, wypijając krew i mienie z coraz rozleglejszych skupisk patriotycznego społeczeństwa. Opryszki, związani z agendami Gestapo lub bezpośrednio w nich uczestniczący, byli bezkarni i wszechwładni: czuli za sobą potęgę niemieckiej maszyny wojennej i administracyjnej. Cały aparat okupancki, zbudowany jako pogotowie ucisku i ździerstwa, był oddany na usługi zbrodni. Szantaż, zbójczą uzbrojony maczugą, stał się pospolitą normą zarobkowania, rzemiosłem bajecznie lukratywnym a dostępnym dla każdego, kto, odrzuciwszy powściągi ludzkości, rozpasał w sobie dziką bestię chciwą i krwiożerczą.

Cóż, że lotry miejscowe, grabiąc własne społeczeństwo, okradaly jednocześnie arcy-lotrów niemieckich? Kradzież ta, ze stanowiska interesów hitlerowskich, była pozorna i pozostawała nieszkodliwa, w zamian zaś przynosiła okupantom korzyści niepomierne. Była pozorna i nieszkodliwa, bo Niemcy traktowali rzemiosło, operujących z ich ramienia, jako gąbki, które cudzym nasiąkały majątkiem i które każdej chwili, skoro dość napęczniały, można było na swój

użytek wycisnąć, przydeptawszy nogą. W ogólnym mechanizmie łupieżczym były to więc jakby dodatkowe narządy łupieży o charakterze służby ochotniczej. Większe jednak od finansowych dobywali Niemcy z tej zgrai bandyckiej korzyści polityczne. Przykuwając najciemniejsze w społeczeństwie żywioly i odpadki ludzkie do jarzma, narzuconego ziemi podbitej, okupant wiązał je ze sobą spójnią najsilniejszą, bo spójnią wspólnej zbrodni i wspólnej odpowiedzialności, a więc widmem wspólnej szubienicy, oczekującej u kresu okupacji zarówno najeźdźców niemieckich, jak ich ciurów miejscowych. W ten sposób okupanci pozyskiwali w nich zaprzysiężoną, niezawodną straż i ochronę swego panowania, oddaną sobie poprzez całe jej plugawe życie aż do śmierci plugawej. W tej właśnie dziedzinie — w szkole upadlania ludzi i z upodlonych budowania podstaw i szanów swej władzy — najazd hitlerowski święcił swe największe, swe najpotworniejsze triumfy. Na nich wspierał on najistotniejsze swe rachuby i nadzieje zawładnięcia światem.

Poczynając od wielkich, jawnych łotrów i zdrajców, jak Mussolini, Petain, Laval, Hacha, Degrelle, Quisling, Pawelicz lub Szalassy, którzy otwarcie kraje swe zaprzędali w ręce nieprzyjaciela, poprzez łotrzyków pomniejszych lub tylko bardziej skrytych, jak byli ministrowie i ministranci Rydza — Grabowski, Kozłowski lub Miedziński, aż do najpośledniejszej gawiedzi bezimiennych opryszków, pukających raz po

raz do drzwi domostw prywatnych i wdzierających się do izb, aby w imię grozy terroryzmu niemieckiego ściągać z ich mieszkańców pobory w naturze i pieniądzach, — wszystkie te odmiany rozboju należały do istoty inwazji hitlerowskiej, wszystkie stanowiły jej składową część nieodzowną. Wszystkie jednemu służyły celowi, jednej podporządkowane były logice i dyscyplinie. Cel polegał na tym, aby we wszystkich narodach Europy nadkruszyć a potem złamać i zetrzeć na proch kościec ich samoistności, zniweczyć ostoję ich godności i dumy, na zawsze wdeptać w ziemię ich ogniska samowiedzy i samoobrony. Dyscyplina i logika miały służyć temu, aby dzieło zniszczenia osiągnąć najkrótszymi drogami.

III

Nie jest przypadkiem, że na lądzie Europy ani jeden z krajów, napadniętych przez Hitlera nie zdołał zwycięsko stawić czoła jego najazdowi: ani jeden poza Związkiem Radzieckim. Na wiele lat przed uderzeniem militarnym z zewnątrz siła oporu była w całej Europie nadżarta i podkopana przez hitleryzm wewnętrzny, rekrutujący sobie gwardię honorową w łonie każdego kraju. Tą gwardią jego były właśnie owe szeregi rzezimieszków dużych i małych, gniazda złoczyńców i zdrajców, łupieżców i gwałcicieli. To, że

jedni z nich zaprzędawali ryczałtem cały swój kraj, inni zaś detalicznie grabili portmonetki prywatne, stanowiło tylko o formacie zbrodni, nie zaś o jej naturze. Natura była jedna: faszystowska. Z natury bowiem faszyzmu wynikało to, że nie mógł on inną rozporządzać siłą, jak tylko złożoną z wykołajeńców i wyrzutków społecznych, z elementów zwyrodniałych, zdeklasowanych i zbójeckich. Nie mógł do innych odwoływać się sprężyn, jak tylko do czynników, zawracających ludzkość z drogi postępu i cywilizacji na drogę cofania się wstecz ku ostępom barbarzyństwa i animalizmu.

Ośrodki finansowo-obszarnicze, stanowiące spółkę nowoczesnego kapitału monopolistycznego z przeżytkami starego feudalizmu, te właśnie możnowładcze ośrodki gospodarcze, których wykładnikiem politycznym i maczugą zbrojną stał się faszyzm, nie miały przed sobą wyboru poza jedną jedyną alternatywą: musiały albo skapitulować przed ruchem postępowym rzesz robotniczych, chłopskich oraz inteligenckich, albo pokusić się o zdławienie tego ruchu we wszystkich krajach świata. Wybrały to ostatnie. Lecz, dokonawszy tego wyboru, reakcja wszechświatowa musiała też i ponieść jego konsekwencje. Wypowiadając walkę siłom postępowym, sprzymierzyła się z tym wszystkim, co było w społeczeństwach antyspołeczne, wrogie wymogom świata pracy, antykulturalne, a w końcu i antyludzkie. Aby ujarzmić Europę, sprzymierzyła się z Anty-Europą: z jej osadem zale-

głości, mroku i zaniedbania, z jej lamusem przeczytków, z rebelią bezwładu, z rezerwatem bestialstwa, drzemiącego w instynktach.

Tak idąc po linii wstecznej coraz dalej, zstępując po szczeblach kultury coraz niżej, faszyzm szedł od stłumienia swobód we własnym kraju do ujarzmiania sąsiadów, cofał się od demokracji do tyranii, od człowieka do bestii, od Tomasza Manna do jaskiniowca, od stosów inkwizycyjnych, na których palono książki w Berlinie i Rzymie, do krematoriów Majdanka, w których spalano ludzi. Szedł od kraju do kraju. uprzednio pukając zrazu do jego wrót, jak złodziej nocny, który naprzód przegląda kąty i komory sąsiada, aby następnie włamać się do jego domostwa. wyrznąć część jego mieszkańców, w perzynę obrócić część dobytku, resztę opanować lub zdeptać.

Tak, włamując się po zbójceku do jednego państwa po drugim i wszędzie stawiając brutalnie stopę na piersi pokonanych, faszyzm niemiecki, wchłonawszy w siebie wszystkie hufce reakcji europejskiej, uderzył z kolei na Związek Radziecki. Tym ostatnim włamaniem spodziewał się on uwieńczyć dzieło swych poprzednich rozbojów. Ale tym razem włamywacz spotkał się z odporem, który gruntownie przetrącił mu kości. Tryumfalny impet dotychczasowy zamienił się w sromotny odwrót. Po raz pierwszy Hitler wtargnął do kraju, gdzie hitleryzm nie znalazł żadnych wewnętrznych punktów oparcia, żadnych dla siebie utajonych rezerw. Błyskawicowe jego zwycię-

stwa załamały się tam, gdzie kończyły się folwarki obszarników i zamczyska kartelów — warownie grabieżczej magnaterii ziemiańskiej i finansowej.

W Unii Socjalistycznych Republik Radzieckich nie było miejsca na zdradę. Hitler stanął w obliczu kraju, który, w przeciwieństwie do wszystkich jego ofiar poprzednich, okazał się monolitem woli społecznej, politycznej i moralnej. Po raz pierwszy zmierzył się z mocarstwem, nie znającym antagonizmów społecznych i — po raz pierwszy przegrał. Utracił przewagę, jaką posiadał, aby jej nigdy już więcej nie odzyskać. Klęska poniesiona przez Hitlera pod Moskwą, a następnie pod Stalingradem dały możliwość i czas obu wielkim demokracjom anglo-saskim zebrać się z siłami i przekuć swój potencjał gospodarczy na potęgę militarną. Jednocześnie odnowiły one w narodach podbitych wiarę w zwycięstwo, wzmogły ich opór i walkę przeciw Niemcom, sprawiły, że wszędzie gdziekolwiek stopę postawił najeźdźca, jęły spod ziemi wybuchać płomienie gniewu i pomsty. Los Hitlera i faszyzmu został przesądzony.

IV

Sprawiedliwość dziejowa wydała wyrok na faszyzm, lecz najsurowszy wyrok, wymierzając karę zbrodniarzom, nie przekreśla jeszcze przez to rejestru skutków i następstw ich zbrodni. A skutki te i następstwa są

olbrzymie i występują w coraz nowych, w coraz coraz różniejszych postaciach. Występują we wszystkich krajach, dotkniętych zaborem hitlerowskim, a zwłaszcza u nas w Polsce, gdzie zabór ten trwał dłużej, niż gdziekolwiek. Nawarstwiały się one w ciągu długich, jak wieki, sześciu bez mała lat okupacji, nie licząc tych lat uprzednich, w których rządy „Ozonu“ torowały drogę Hitlerowi. Nawarstwiały się zarówno w sferze życia materialnej, jak moralnej i umysłowej.

W dziedzinie stosunków materialnych okupacja niemiecka spowodowała rozległe w łonie społeczeństwa przesunięcia bogactw, przesunięcia niekiedy tak nagłe, głębokie i gwałtowne, że wynikami przypominały katastrofę trzęsienia ziemi: co było w górze, kruszyło się i zapadało w otchłań; co zalegało w dole, wzbijało się wzwyż.

W krótkich epizodach, przytoczonych na początku, jako wyjątki z pamiętnika Karola Borowskiego, odbił się drobny ułamek tego przesuwania się dóbr materialnych — nie tylko w gotówce, ale i w naturze — z rąk do rąk, z klasy do klasy, z rąk inteligencji postępowej, naprzód żydowskiej, a potem również i polskiej, w brudne łapy zbirów, rekrutujących się wokół Gestapo z najmniej wybrednych odpadków i wyrzutków społecznych. By uprzytomnić sobie ogrom dokonanej przez zabór niemiecki odmiany w układzie fortun, należy ogarnąć obszar cmentarzysk, jakie zostawił on poza sobą, a na cmentarzyskach tych zliczyć milionowe zastępy pomordowa-

nych: każdy trup świadczy o dokonanym uprzednio rabunku! każda mogiła tai w sobie czyjeś zwłoki, sponiewierane i odarte ręką grabieżcy! od każdego grobu wiedzie ścieżka,znaczona krwią, ociekającą z pośpiesznie unoszonych łupów! I ponieważ, im więcej było ofiar mordu, tym szersze pole do rabunku, więc mordowano coraz częściej, by nie wysychało źródło zbrodniczego zysku, zasilającego składy i kasy okupanta oraz jego katowskiej czeladzi.

Z każdego obozu śmierci, jak Sobibór, Treblinka, Oświęcim czy Majdanek, z każdego lochu więziennego, spod każdej szubienicy, z każdego doraźnego miejsca egzekucji, zewsząd, gdziekolwiek broczyła krew obywateli polskich, płynął jednocześnie potok złupionego mienia, łączący się z tysiącem innych potoków podobnych, aby, w jedną zlawszy się rzekę, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, odprowadzać bogactwo Polski do Berlina, tej koronnej jaskini rozboju. Każdy pociąg niemiecki, dostarczający na Majdanek lub Oświęcim zapasów śmiercionośnego cyklonu, zabierał w drogę powrotną sprzęt, odzież, obuwie, bieliznę, futra, kosztowności i klejnoty, a przede wszystkim narzędzia i warsztaty pracy po uśmierconych skazańcach. Jeśli przeważną część łupu zagarniał przy tym Niemiec, to sporo zdobyczy dostawało się też i jego miejscowym najmitom i pacholom. Wśród tej zgrai siepaczy hitlerowskich — czy byli to N.-S.-Zetowcy, czy sławetni rycerze Pługa i Miecza, czy oddani swastyce sławojowscy policjanci

granatowi, czy pospolici rzezimieszkowie — nie ma wśród nich jednej dłoni, krwią zbryzganej, do której nie przyłgnałby szczątek cudzego mienia, zwitek cudzego pieniądza.

Im wyżej piętrzyły się po jednej stronie barykady, stopy zwłok ludzkich, ofiar niemieckiego terroru, tym wyżej po stronie drugiej rosły kolumny pieniądza w rękach ciurów, obsługujących masakry i szubienice niemieckie. W ciągu lat pięciu ileż tego bogactwa, złupionego na skazańcach ghetta a także na najpatriotyczniejszym odłamie społeczeństwa polskiego, spłynęło w kieszenie jego części najplugawszej! Zbogaceni łotrzykowie, aby zatrzeć ślady pochodzenia swych nowych fortun, lokowały swe „oszczędności“ w walutach zagranicznych lub wymieniały je w „drodze obrotu uszlachetniającego“ na nieruchomości i przedsiębiorstwa. Prześwietlenie genezy tych majątności dałoby pokaźny a znamienny materiał do charakterystyki stosunków gospodarczo-finansowych w Polsce okupowanej, a przede wszystkim do oceny tej swoistej „koncentracji kapitału“, jaka pod rządami hitleryzmu dokonała się wokół ośrodków zbrodni. Docieranie do źródeł tych nowych fortun, wyrosłych dosłownie z krzyżowej męki narodu, jest niestety niełatwe. Jedno można stwierdzić: nigdy i nigdzie nagle spęczniała kieszeń dorobkiewicza, nigdy i nigdzie wielki kapitał, w ręku jednostek skupiony, nie budziły tak uzasadnionych przeciw sobie zastrzeżeń, nie były tak wątpliwym tytułem do roli

przewodniej w społeczeństwie, jak dziś, na gruzach straszliwej tragedii, jaką przeżyła Polska w dobie ubiegłego pięciolecia.

Nigdy pieniądz, nigdy złoto, wyniesione z oddechu nieszczęść ludzkich, tak bardzo nie cuchnęły krwią, jak dziś w Polsce. Nigdy demokracja pracy nie miała tyle w ręku atutów, aby zastąpić rządy kapitału.

V

Jeśli w materialnym stanie posiadania jednostek i całych gromad ludzkich zbrodnia hitlerowska dokonała tak głębokich przesunięć, grążąc jedne grupy na dno nędzy, w górę zaś wynosząc, ich kosztem, grupy inne, to jakież musiał nastąpić przewrót w układzie, w hierarchii dóbr duchowych: w życiu społeczeństwa umysłowym i moralnym! Wszak to, co uległo poniżeniu i sponiewieraniu, niosło w sobie kwiat i owoc kultury; to, co zatriumfowało i rozparło się na powierzchni, powstało z rozboju, z rozpasania instynktów dzikości, z bestialstwa!

Podział dóbr materialnych już przed tym, w Polsce „ozonowej“, jak w każdym kraju kapitalistycznym, urzeczywistniany z dotkliwym dla świata pracy uszczerbkiem, zwłaszcza dla świata pracy twórczej, odkrywczej i postępowej, został przez Niemców

ostatecznie wykrzywiony w kierunku jego krzywdy, jawnie i bezwstydnie premiując w społeczeństwie żywioly zdeklasowane, pasożytnicze, spekulancko-grabieżcze. Nędza, głód i poniewierka stały się jedynym udziałem doli proletariatu miast i wsi, jedyną perspektywą pracowników umysłowych: perspektywą, u której kresu rysowało się zresztą niezawodne widmo szubienicy lub ognista czeluść krematoriów. Nędza, głód i poniewierka, obwarowane owymi strażnicami terroru, jakimi były strażnice obozów koncentracyjnych, stanowiły podłoże materialne, na którym rozegrał się w ostatnim sześcioleciu straszliwy los inteligencji pracującej: tej czołowej w społeczeństwie przedstawicielki dziejowego pochodzenia cywilizacji.

Czy trzeba przypominać, jak dalece w praktyce życia kapitalistycznego o pozycji społecznej obywatela, o sile jego oddziaływania na środowisko, orzeka jego siła majątkowa? I czyż trzeba udowadniać, że faszyzm we wszystkich swych odmianach przedstawia w swej treści ekonomicznej krańcową, zgnilczą, schyłkową fazę kapitalizmu, w której wszystkie złe strony tego ustroju w najjaskrawszej występują postaci? Pamiętając o tym, nie trudno wyobrazić sobie cios, jaki uderzył w inteligencję polską z chwilą, gdy jej sytuacja materialna została u podstaw swych poderwana. Tracąc swe pozycje materialne, tracąc częstokroć nawet prawo do własnego mieszkania, inteligencja polska, strącona w otchłań nędzy, utra-

cila zarazem tę funkcję kierowniczą, która jej przypada w udziale na polu wytwarzania, gromadzenia i pielęgnowania dóbr kulturalnych w narodzie. Krując, degradując i niwecząc inteligencję, najeźdźca niemiecki chciał zniweczyć sam wątek cywilizacyjny w Polsce, ostoję jej pamięci i ciągłości historycznej.

Ponad rozbitymi kadrami pracowników umysłowych, nad ich głowami i na ich karkach, rozsiadła się nowa bandycka warstwa dorobkiewiczów, zbagacanych na ghattach żydowskich, na krwi skazańców, na niedoli bliźniego, sponiewieranego butem zaborcy, na tragedii uchodźców, rugowanych z domostw rodzinnych. W mieszkaniu dawnego profesora Wszechnicy lub Akademii Sztuk Pięknych, sadowił się służalec Gestapo, w siedzibach artystów, pisarzy, działaczy społecznych i myślicieli zainstalowali się utrzymańcy lub utrzymanki Dienststellów: — hieny, szakale i wilki na smyczy okupanta. Te sprzedajne maskary, berlińskim wyszminkowane blichtrem, miały przesłaniać koronę cierniową na czole Polski podziemnej, walczącej, nieprzejednanej, bohater-skiej. Swym niktzemnym przykładem miały kusić i w sieci zatrute usidlać jednostki nieoporne lub w swym oporze nadkruszone. Tu zaczynało się dla Polski prawdziwe piekło upokorzenia, ohydy i męki. Ale na tym się jeszcze nie kończyło.

Wiemy dobrze o tym, że najeźdźca hitlerowski skoro tylko na ziemi naszej się obwarował, od razu główny skierował atak na nasze kadry pracy umy-

słowej. Aby ubezwładnić naród, postanowił wdeptać w ziemię jego myśl. By zapobiec odrodzeniu myśli, pozamykał szkoły, pogasił ogniska wiedzy i sztuki. Wiemy o tym doskonale. Czego się wszakże w tej okropnej doli niedocenia, to pytania, w jaki sposób, za jaką cenę, ci ludzie, na zatracenie skazani, którzy uszli przed wyrokiem zagłady, za jaką cenę ocalili swe głowy, na jakich drogach znaleźli ratunek i wybawienie?

Aby ocaleć, trzeba było albo wzbić się duchem wysoko, albo zejść bardzo nisko: drogi pośredniej, wygodnej, poprawnej a niekrępującej, nie było. Otwierało się natomiast, nieograniczone pole pokus i kompromisów, które przeistaczało się w ustawiczne niebezpieczeństwo degradacji moralnej i umysłowej.

Ocalić w sobie człowieka i człowieczeństwo — w starciu z okupantem hitlerowskim — można było jedynie za cenę stawienia życia swego na kartę, za cenę heroizmu i ofiary. Ale tam, gdzie jest ofiara i samopoświęcenie, tam czeka kat, tam czai się zdrajca i donosiciel, który ofiarę w ręce wroga zaprzedał, tam klątwa zatracenia i upadku wypala piętno niezatarte na shańbionych czołach. Ludzi dorastających do heroizmu, jest w każdym pokoleniu niewielu. Olbrzymia, przemożna większość składa się z jednostek pospolitych, ludzi średniej miary, którzy utrzymują się w karbach etyki, obowiązującej w ich środowisku, póty, dopóki obowiązek ten nie

wymaga z ich strony szczególniejszego wysiłku, ofiary lub wyrzeczenia. W czasach zwykłych ludzie tacy niosą przez życie skarb swej uczciwości bez zbyteńgo ryzyka i uszczerbku, pozostając — z małymi odchyleniami — w zgodzie z kodeksem własnego sumienia. Gdy jednak gwałt, przymus lub terror panującego reżymu zniewoli jednego z tych ludzi do złamania się, do upadku i zbrodni, wtenczas czyn, którym się człowiek ów pokalał, zaciążywszy na reszcie jego życia, na zawsze odetnie mu drogę powrotu i powiąże go ze sprawcą nierozzerwalnym węzłem współwiny. Raz wykolejony, człowiek taki staje się wykolejencem dożywotnim i brnie z jednej drożności w drugą.

Aby się z dna takiego upadku dźwignąć i odrodzić, aby znaleźć drogę odkupienia, na to również trzeba niebyłejakiej woli, trzeba niepowседневnej siły ducha: woli i siły, na którą zdobyć się może nie każdy. Nie każdy z tych, którzy na dno otchłani się stoczyli.

I oto mamy odpowiedź, dlaczego plony zatrutego siewu, rzuconego przez okupanta w glebę dusz ludzkich, były tak potworne, a stały się tak rozległe i groźne.

Człowiek stworzony jest na to, aby żyć na ludzkim, jasnym świecie. Nie jest zrodzony na to, aby żyć i konać w piekle, rządzonej przez oprawców. Faszizm niemiecki zamienił świat i życie Polaków w piekło codzienne. Obywateli i mieszkańców kraju poddał szczególnym operacjom i oddziaływaniom, aby dobyć z nich pierwiastki bestialstwa, aby rozbudzić w nich smak krwi bliźniego, aby z czoł, znaczonych klątwą Kaina, uczynić elitę i patrycjat.

Okupacja zmieniła Polskę w piekło. Lecz w piekle tym była cała drabina szczebli, znaczących kolejno stadia upadku i zatracenia. Okupantowi chodziło o to, aby ludzi wciągnąć w kolisko zbrodni ukradkiem, stopniowo a bezpowrotnie. Chodziło o stworzenie przynęty, która by pozwoliła zwabić jak najwięcej jednostek w zasadzkę i niepostrzeżenie zamknąć wokół nich krąg odpowiedzialności solidarnej. I tu, na tym pierwszym szczeblu znieprawiania ludzi przez okupację, na tym pierwszym szczeblu piekła, gotowanego krajowi, wiemy już, jak kolosalną odegrał rolę „pościg za żydem“: ów pościg, tak wymownie odmalowany we wspomnieniach Karola Borowskiego.

Niemcy, podejmując w naszym kraju hasła antysemityczne, odwoływali się do żywiołów, już uprzednio otumanionych i zatrutych przez długotrwałe rządy reakcji polskiej. Co więcej: realizując te hasła,

głosili, że urzeczywistniają jeden z najaktualniejszych postulatów tego w Polsce obozu, który rościł sobie prawo do monopolu na patriotyzm. I rzeczywiście, szczując przeciw Żydom, Niemcy wchodzili jakby w sukcesję po rodzimej reakcji, stawali się jej dalszym ciągiem, stawali się egzekutorami jej testamentu. Czym-że było ghetto, w którym najeźdźca hitlerowski zamknął i stłoczył Żydów, jeśli nie rozszerzonym na całą ludność semicką imperatywem, który już na długo przed tym zatriumfował, jako *Numerus clausus*, stosowany w uczelniach wyższych, w adwokaturze, w związkach i organizacjach „sanacyjnych”? W niejednej dziedzinie życia publicznego pod okupacją niemiecką można było stwierdzić, że to, co polski faszysta pomyślił i zainicjował, to hitlerowiec zatwierdził i wypełnił.

Tylko, że najeźdźca, własne mający plany, nie zamierzał zatrzymywać się tam, gdzie kończył się interes i program reakcji polskiej. Jemu chodziło przede wszystkim o to, aby dłoń polską przygwoździć do łańcucha zbrodni, która w początku godziła w Żydów, ale w dalszym ciągu uderzyć miała w Polaków. To, że dłoń taką znalazł w obozie reakcji, nie było przypadkiem i odpowiadało naczelnym regułom strategii hitlerowskiej, która z góry wkalkulowała ten czynnik sprzymierzeńczy w kosztorys swego roboju. Osobnik, wytresowany w praktykach antysemitycznych przez swoją własną „narodową” reakcję i z uciechą spoglądający na te same praktyki, tylko

konsekwentnie rozwinięte aż do logicznego ich krańca przez okupantów, nie ochłonął jeszcze z naiwnej uciechy, a już sam znalazł się pod morderczym obuchem Hitlera. Nierychło zmiarkował, że akcja przeciw Żydom, do której zaproszono go na współnika, była tylko pierwszym aktem w operacji, skierowanej przeciw innym narodom podbitym, a więc i przeciw jego własnej ojczyźnie. Lecz cóż mu pozostawało? Zerwać się do wspólnej, powszechnej walki przeciw najazdowi? Nie każdego, jak nadmieniliśmy, stać na heroizm lub choćby tylko na ryzyko śmiertelnego boju. Tu właśnie uwydatniało się żądło kalkulacji hitlerowskiej. Osobnik, który w zwykłych warunkach życiowych pozostałby w szrankach więcej lub mniej znośnego oportunisty, musiał, ujęty raz w pętlę hitleryzmu, stać się straceńcem, wytrąconym raz na zawsze z grona ludzi, liczących się z cenzurą społeczną. Pokalawszy się zyskiem, dobytym lub pochodzącym z niedoli bliźnich, jakąż miał on siłę moralną, aby stawić czoło i rzucić wyzwanie tym, którym zawdzięczał współdziałanie w zakrwawionych lupach? Chwycony, przy ładajakiej okazji, za kark przez okupanta, który, wymordowawszy Żydów, po nowe sięgał ofiary, osobnik taki, w najlepszym razie, dawał się biernie wlec na miejsce kaźni, jako kolejny obiekt „operacji“... W najlepszym razie ginął bez obrony i bez oporu: na pierwszym szczeblu niemieckiego piekła. Co wszakże zdarzało się wtedy, gdy osobnik, już upokorzony i złamany,

próbował ocalić się za cenę dalszych upodleń? Wten-
czas, jeśli zostawał przy życiu, staczał się ze szczebla
na szczebel, coraz niżej, spadał z jednego kręgu pie-
kla w drugi, coraz głębiej, na samo dno zatracenia.
Przestawał być człowiekiem, stawał się hieną, wil-
kiem i szakalem. Przestawał być Polakiem, a stawał
się wcielonym triumfem kalkulacji i strategii zwy-
cięskiego hitleryzmu. Dla takich dwunogich bestyj
obojętną już było rzeczą, kogo szantażują, kogo ści-
gają, czyją chlepcą krew, po czyich zwłokach depcą.
Ścigali każdego, przeciw komu ich poszczuto; gra-
bili wszystkich, którzy kryli się przed okupantem
i których mogli przeto grabić bezkarnie, mordowali
każdego, kto nie miał pieniędzy na okup. I oni to —
psy gończe na smyczy niemieckiej — stanowili naj-
groźniejsze niebezpieczeństwo dla Polski patriotycz-
nej, Polski prawdziwej, Polski walczącej z najazdem
faszystowskim i z faszyzmem wewnętrznym swego
kraju. Oni stanowili straż przednią Gestapo i oni
osłaniali jej odwrót. Oni docierali tam, gdzie nie
mógł dotrzeć Niemiec. Oni zarzucali pętlę na szyje
ofiar, które okupant wiódł pod szubienicę.

Tak przedstawia się to piekło deprawacji człowie-
ka, które pozostawiło najgłębszy osad spustoszenia,
spowodowanego przez okupację hitlerowską w na-
szym społeczeństwie.

VII

Spoleczeństwo to wyniosło dotkliwe skazy znieprawienia już z okresu poprzedzających okupację rządów reakcji sanacyjnej. Lecz metody sanacyjne zostały przez Niemców na ziemi polskiej wyostrzone i udoskonalone do niewiarogodnego napięcia zgrozy i potworności. Zgroza, posiana przez Hitlera, przesłoniła w pamięci polskiej krzywdy wyrządzone przez jego pierwszych adeptów i wyznawców: Raczkiewiczów, Koców, Miedzińskich, Grabowskich, Becków, Sosnkowskich, Hutten-Czapskich, Mackiewiczów, Bieleckich, Rembielińskich, Skwarczyńskich i tylu, tylu innych. Majdanek i Oświęcim złowieszczą luną swych krematoriów pochłonęły sanacyjną Berezę Kartuską. A przecież faktem jest, że reakcja sanacyjna znieczuliła całe grupy społeczne, ciężące ku prawicy, na niebezpieczeństwo faszyzmu, a co gorsza, posiała w umysłowości pewnych kół młodzieży ziarna i zadatki, do których najeźdźca miał możliwość bezpośrednio nawiązywać swe własne intencje, metody i cele. Jako jeden z takich łączników, nawiązujących mosty porozumienia między sanacją a Hitlerem, wskazaliśmy już wyżej antysemityzm. Łącznikiem drugim, o wiele potężniejszym, była wspólna nienawiść przeciw Związkowi Radzieckiemu, idąca w parze z zasadniczą nienawiścią przeciw demokracji, przeciw rządowi ludu.

Nie jest tedy przesadą przekonanie, coraz bardziej

utrwalające się w świadomości tych, którzy nową budują Polskę, prawdziwie wolną i prawdziwie niepodległą Polskę demokratyczną, że okres rządów ozonowo-sanacyjnych był — pod niejednym względem — fazą wstępną i przygotowawczą w procesie uplanowanego przez Hitlera ujarznienia i zniszczenia Polski. Innymi słowy: pierwszą fazą rządów okupacyjnych w Polsce były rządy ozonu: dyktatura Mościckiego, Becka i Rydza.

Jeśli zresztą istniały w tym względzie jakiegokolwiek wątpliwości, to rozproszył je nie kto inny tylko sam pan Raczkiewicz, londyński sternik nawy sanacyjnej. On to bowiem przez usta swych rzeczników, równie, jak on, w służbie reakcji zasłużonych, zażądał oddania ziem polskich, wyzwolonych spod najazdu niemieckiego, pod zarząd komisji międzysojuszniczej. Panu Raczkiewiczowi i Arciszewskemu, jak widać, jeszcze niedość tych sześciu bez mała lat męki, które Polska wycierpiała pod okupacją niemiecką. Sądzą oni, że, skoro do rządów w kraju nie może wrócić sanacja, to niechby kraj pozostał raczej bez rządów, niż bez sanacji. Pragnęli oni skazać Polskę na ponowną okupację, byle tylko nie dopuścić w niej do rządów demokracji, do władzy ludu. Tym swoim wystąpieniem dowiedli oni raz jeszcze, że reakcja polska pozostaje i chce nadal pozostać wierna założeniom swego reżymu. Ludzie, którzy pragną przedłużenia i utrwalenia w swoim kraju okupacji, czyż mogą się obrażać, gdy oskarżamy ich, że ją przygotowali?

Lecz jeśli rządy sanacji łączą się w całość solidarną z rządami okupacji hitlerowskiej, to i odpowiedzialność za okres niewoli musi być solidarna: za pogrom ludności, za ruinę miast, za gruzy Warszawy, za wszystko, cośmy wycierpieli; za wszystko, cośmy utracili bezpowrotnie. I za to wszystko, co się w umysłowości i w etyce człowieka zachwiało lub wypaczyło, a co wypadnie dźwigać i odbudowywać z upadku. Muszą odpowiedzieć za to nie tylko strażnicy obozów więziennych i palacze krematoriów, nie tylko kaci i komendanci katów, nie tylko wirująca w okół nich szarańcza opryszków, nie tylko zgraja hersztów rozboju z Hitlerem na czele. Muszą odpowiedzieć wspólnie z nimi także i współnicy ich, poza granicami Niemiec, na terenie wszystkich niemal państw zachodniej i środkowej Europy współdziałający z inwazją Hitlera: ci przewodnicy rządów i społeczeństw, którzy, wiedząc, co niesie ta inwazja, tworzyli dla niej, na długo przed wojną, ośrodki oparcia wewnątrz własnych krajów, jawnie lub tajnie zaprzędając je w niewolę w imię egoistycznych interesów kapitału finansowego, nie uznającego ani człowieka, ani praw jego do ojczyzny. W tej liczbie muszą więc odpowiedzialność i karę zasłużoną ponieść złoczyńcy polityczni, którzy, stojąc na czele rządów w Polsce przedwrześniowej, wprzęgli się w służbę faszyzmu włosko-niemieckiego, współpracowali z nim w życiu wewnętrznym i międzynarodowym, umacniali jego placówki w Gdańsku i Genewie, w Wiedniu i Buka-

reszcie, w Bratysławie i Madrycie, w Europie i Afryce, nie cofając się w niesieniu pomocy Mussoliniemu i Hitlerowi nawet tam, gdzie ci ostatni szli na zabór całych krajów (Abisynia, Austria, Czechosłowacja, Albania) lub na zdławienie w innych krajach odrodzieńczych ruchów demokracji (Hiszpania). Za cenę marzeń o wspólnej z Hitlerem i Mussolinim wyprawie na Związek Radziecki, na pola Białorusi i Ukrainy, zaprzędali oni niepodległość Polski. Nie przewidzieli w swej zbrodniczej ślepotce, że imperializm hitlerowsko-niemiecki, noszący w sobie prastarą zaborczość drapieżnego krzyżactwa, zechce iść na Moskwę nie wspólnie z Polską, lecz poprzez jej trupa.

Nie chodzi nam o zemstę lub odwet. Chodzi o wymiar sprawiedliwości. O zadośćuczynienie moralne i polityczne za zdradę popełnioną na Ojczyźnie.

Przebaczyć winę ma prawo ten tylko, kto udowodnił i pokazał, że mocen jest wymierzyć karę. Przebaczenie bez uprzedniego sądu, wyroku i kary na zbrodniarzy byłoby równoznaczne z pochwałą zbrodni. Demokracja, udzielając amnestii złoczyńcom, którzy uknuli spisek, aby ją zniszczyć, podkopaliby fundamenty, na których wspierają się jej rządy w stosunkach społecznych i w świadomości mas.

Dlatego to z głęboką ulgą, z najwyższym uznaniem powitały wszystkie ludy, ocalone z krwawego potopu okupacji faszystowskiej, niezłomną decyzję mocarstw sprzymierzonych, orzekającą konieczność nie tylko rozgromienia militarnej potęgi Niemiec hitlerowskich.

ale także doszczętnego wytępienia wszystkich gniazd hitlerowskich, które Hitlera i Mussoliniego posilko-
wały w ich rozbójniczych wyprawach.

Ludy, miłujące wolność, zbyt drogo — w zapasach z faszyzmem — okupiły swe umiłowanie, aby wolno było wystawiać je ponownie na próbę walki z tak piekielnym niebezpieczeństwem. Okres, w którym pukanie do drzwi bywało sygnałem zgrozy i popłochu w uszach spokojnego mieszkańca, nie może się już nigdy w dziejach ludzkich powtórzyć.



Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 332620



000-332620-00-0